

Jak pokój, nie wojnę czynić

(rozważania nieco felietonowe)

Że czynić pokój należy, prawie każdy teoretycznie się zgodzi. Ewangelia Mateusza powiada: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni synami Bożymi nazwani będą” (5,9) i w innych księgach słowa podobne padają. Mało kto przyznaje się do zamiaru wojennego: jeśli nawet, to zawsze usprawiedliwia go jakoś. Ideał absolutnego niestosowania przemocy, będący głównym przesłaniem Ewangelii, zszedł jednak z oczu nawet samych chrześcijan, jak tylko z prześladowanej mniejszości stali się wyznawcami religii państwowej. Można zresztą powiedzieć ogólnie, że niemal każda religia czy raczej jej wyznawcy przemoc stosują najspokojniej, choć mogłaby z niej wynikać jakaś międzyludzka łagodność.

JAN TURNAU

Wszystkiemu winne nasze „ja”

Na pięć wieków przed Chrystusem pojawił się natomiast Budda, który również niestosowanie przemocy głosił. Doszedł mianowicie do wniosku, że źródłem wszelkiej wojowniczości jest przypuszczenie, iż istnieje coś takiego jak ludzkie „ja”, a to nieprawda. Apostoł buddyzmu na Zachodzie Japończyk Daisetz Teitaro Suzuki napisał, że skoro „ego” nie ma, to nie mogło być ukrzyżowane. „Czyż to, że Chrystus umarł zawieszony pionowo na krzyżu, podczas gdy Budda skończył w pozycji poziomej, nie jest symbolem podstawowej różnicy – nie w jednym tylko znaczeniu – między buddyzmem a chrześcijaństwem? Pozycja pionowa wyraża działanie, bojowość, ekskluzywizm, pozycja pozioma natomiast spokój, tolerancję i szerokie poglądy. Chrześcijaństwo, będąc aktywne, ma w sobie coś, co pobudza, wstrząsa i niepokoi. Będąc wojownicze i ekskluzywne, chce dzierżyć autokratyczną, niekiedy despotyczną władzę nad innymi, choć głosi demokrację i powszechne braterstwo. Pod tym względem buddyzm okazuje się całkowitym przeciwieństwem chrześcijaństwa” (zacytowałem z książki Adama Szostkiewicza *Wielkie nieba*).

Myślę, że mamy tu do czynienia ze stylem propagandowym. Autor sugeruje, że jego religia nigdy nie skłaniała do nietolerancji, a przecież bywało różnie tam, gdzie była państwowa (w Tajlandii, Nepalu czy obecnie w Birmie). Można też bronić chrześcijaństwa argumentem, iż religia ta nie głosi nieistnienia „ego”, bo jest to po prostu fakt psychologiczny, natomiast Chrystus, dając się ukrzyżować, zanegował jakby swoje „ja” praktycznie, czego Budda nie dokonał. W wielkiej myśli Dalekiego Wschodu zawiera się jednak intuicja bezsporna, czynienia pokoju ściśle dotycząca. Albowiem wojowniczość z zapatrzona we własne „ego” nieuchronnie wynika.

Nie czyń drugiemu...

O egoizmie napisano całą bibliotekę, nie będę się rozwodził. Wymyślono również maksym etycznych legion: aby wrócić do Ewangelii, zacytuję tę oto: „Wszystko, co byście chcieli, aby wam ludzie czynili, to i wy im czyńcie. Takie jest bowiem Prawo i Prorocy” (Ewangelia Mateusza 7,12 oraz Łukasza 6,31). Jest to tak zwana złota reguła etyczna, mająca swój odpowiednik w żydowskiej wersji tej zasady, przypisywanej wybitnemu „uczonemu w Piśmie” Hillelowi: „Nie czyń drugiemu, co tobie jest niemiłe. To jest Tora, a wszystko inne jest wyjaśnieniem”. Któż wie, że takie jest źródło maksymy polskiej: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe”?

„Ego” jest fundamentalnie niedemokratyczne: wszyscy ludzie są równi, zgadza się, ale jam jest równiejszy. Mój interes i moja racja, moje poglądy, a nie cudze. W „Tygodniku Powszechnym” z 12 kwietnia 2015 roku taka anegdota wielkiego teologa islamskiego, najwybitniejszego poety sufickiego, Rumiego:

„Puk, puk...
– Kto tam? – To ja.
– Nie ma tu miejsca dla mnie i ciebie.
Puk, puk...
– Kto tam? – To Ty.
– Wejdz”.

To tekścik z innej religii i kultury, w naszej oczywiście podobnych wiele. Ja, my, moi, nasi. Taki egocentryzm, bardziej po polsku: samolubstwo, jest przyczyną rozwodów, rozłamów w na pozór zintegrowanych środowiskach, wojen. Wojen również: przyczyną każdej jest tak czy inaczej

troska o to, żeby moje było na wierzchu. Nienawiść narodowa, rasowa, klasowa, chęć powiększenia własnego terytorium, zapędy imperialistyczne, urażona duma władców – wszystko to da się sprowadzić do wspólnego samolubczego mianownika.

Jak jednak z takimi postawami walczyć w sobie samym, w swojej wspólnocie? Oto trochę myśli instrukcyjnych. Sprawa podstawowa to psychologiczna „autoanaliza”, po prostu spojrzanie na siebie albo na swoją wspólnotę „w prawdzie”, przez okulary różu zupełnie pozbawione. Czy naprawdę kierują mną albo moją wspólnotą zupełnie czyste intencje? Czy gdy bronię jakichś obiektywnych racji, nie są one w gruncie rzeczy mocno subiektywne? Upieram się przy jakimś swoim pomysle albo przeciw pomysłowi cudzemu w istocie nie dlatego, że jest mądry albo głupi, tylko dlatego, że jest mój albo cudzy.

Egoizm jednak niejedno ma imię

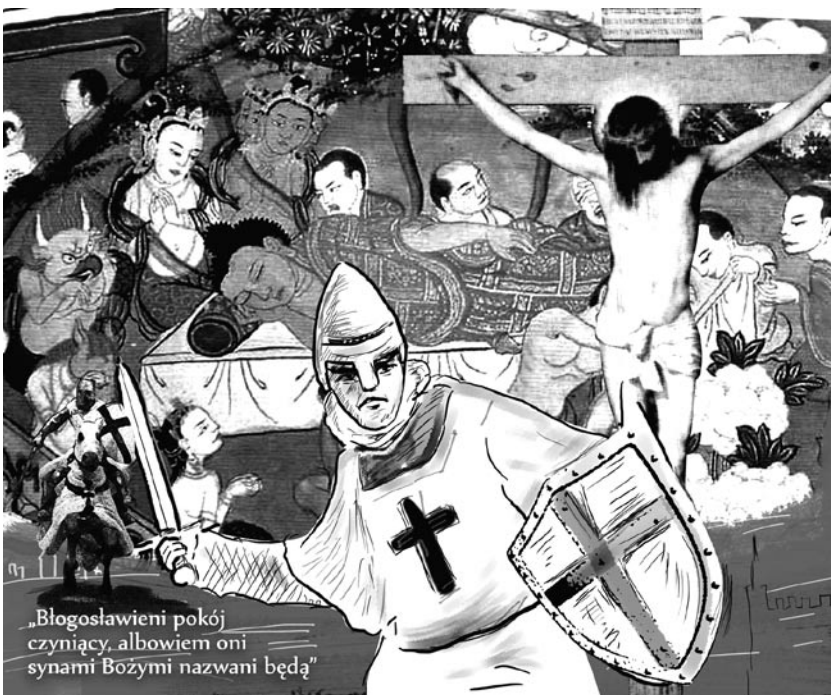
Wszystko, co wyżej napisałem, to być może właściwie moralistyka, intelektualne truizmy. Niemniej **Józef Wissarionowicz Stalin** mawiał podobno, iż należy je powtarzać, więc może nie jestem najgorszy. Sprawy byłyby zresztą teoretycznie prostsze, gdyby nie to, że komplikuje je różnorodność ludzkiej natury. Bywają bowiem ludzie, którzy – jak ktoś ich określił – chowają się sami za siebie. Są niekonfliktowi, „cisi” do tego stopnia, że nie podejmą żadnych działań na rzecz cze- gokolwiek, nie wystąpią w obronie niczego czy nikogo. Siedzą cicho, gdy trzeba się odezwać albo wręcz działać. To na pewno nie jest dobre niestosowanie przemocy, bo nie chodzi w nim przecież o bierność. Ona też jest egoizmem, bo wynika z troski o własną skórę, o to, żeby się nie wychylić, bo można oberwać. Pojęcie wojny sprawiedliwej nie jest, co prawda, moralnie bezpieczne, teologowie nie lubią już nim szafować, niemniej radykalny pacyfizm również, bo przecież „obrona konieczna” czasem jest naprawdę konieczna. Trzeba unikać wojny, prowadzić z uporem maniaka dialog, pertraktacje, nie kosztem jednak życia podopiecznych. Mówiąc krótko i wężło-

wato, pokój nie jest wartością absolutną. Czyniąc go za wszelką cenę, zaprzecza się wartościom, którym ma służyć. Czyniąc zeń bożka, wypacza się jego Boży sens. Pokój to nie jest tak zwany święty spokój!

* * *

PS. Wrócę jeszcze do cichych i głośnych. Piszę ten tekst w dzień po pogrzebie Władysława Bartoszewskiego, więc jego superaktywność chodzi mi po głowie. Zwierzę się ze wspomnienia o nim nie najpochlebniejszego. Było to sto lat temu, w mieszkaniu pani Anieli Urbanowiczowej, znanej postaci z ówczesnego warszawskiego KIK-u, czyli Klubu Inteligencji Katolickiej. Starła się gromadzić u siebie ludzi różnej myśli, zawsze jednak dalekiej od komunistycznej sztampy, był to taki jakby pozacenzuralny intelektualny salon. Kiedyś zaprosiła właśnie Bartoszewskiego, gdy go jeszcze profesorem nikt nie nazywał, ale do powiedzenia miał zawsze wiele. No i mówi i mówi, robi się zebranie z referatem, nie salon. Słyszę szepot jego żony: – Władku, skończ już, ludzie wychodzą. Na co on: – A niech wychodzą! Otóż gadulstwa na starość coraz bardziej nie noszę, sam swoje chyba doszczętnie zwalczyłem, uważam je za przejaw jakiegoś egocentryzmu, ale byłbym idiotą kompletnym, gdybym Profesora za samoluba uważał. Nawet i to, że miał język niewyparzony („dyplomatolki...”), nie czyni zeń przecież wojny zwolennika. Postać oczywiście ogromna. ■

Rys. Witold Popiel



Rys. Witold Popiel